

krzaczków. Roztarłem jedną z nich między palcami i upajałem się jej silnym aromatem. Ziemia była różnobarwna: między zielonymi i szarymi kamieniami widniały czarne punkty. Zieleń pięła się po masywnych korzeniach drzew i owijała wokół ich grubych pni. Między skałami rosły błękitne kwiaty cebulicy. Gdy ześlizgnąłem się na butach w dół i znowu znalazłem się na drodze, zauważyłem krokusy: zakwitły po deszczu, różową mgiełką opatulając skrawek ziemi wokół pnia, na którym wcześniej siedziałem. Nie chciałem podeptać ich delikatnych płatków, ledwo odstających od ziemi, lecz graniczyło to z niemożliwością, bo kwiatki rosły dosłownie wszędzie.

Z powodu nawału pracy i ulewnych deszczy, przez które droga zrobiła się za bardzo błotnista, przez cały poprzedni tydzień nigdzie nie wychodziłem. To tłumaczyło moje wewnętrzne napięcie. Wędrowanie zawsze pomagało mi nabrać dystansu do różnych spraw. Teraz przyspieszyłem kroku i schodziłem stromo w dół, w kierunku uedu. Im niżej byłem, tym głębsza stawała się cisza. Jak zawsze w takich wypadkach, odległość i cisza sprawiły, że wsłuchiwałem się w te kłopotliwe myśli, które zazwyczaj leżały zagrzebane gdzieś głęboko w moim umyśle. W czasie wędrowki wiele z nich dochodziło do głosu. Przesiewałem je. Umysł dopuszcza do siebie tylko to, z czym jest w stanie sobie poradzić. Tutaj, na wzgórzach, mój wewnętrzny próg tolerancji zawsze się podwyższał.

Niedawno musiałem prosić żołnierza, aby pozwolił mi wrócić do domu. Byłem w drodze z naszego zimowego domu w Jerychu, gdzie spędziłem bardzo miły dzień. Musiałem izraelskiego żołnierza błagać. Zapewniłem go, że naprawdę nic nie wiedziałem o wprowadzeniu w Ramallah go-

dziny policyjnej. Nie było mnie cały dzień, a nie słuchałem wiadomości. „Jestem zmęczony – powiedziałem. – Proszę, niech mnie pan przepuści”. Jakie to upokarzające: błagać obcą osobę o coś tak podstawowego. Dlaczego muszę znosić te wszystkie utrudnienia? Dlaczego muszę trwonić czas na rozmyślanie o ponurej przyszłości? Żyć jak renegat, człowiek udręczony, z okrutnym poczuciem fatum ciężącego nad moim życiem? Dlaczego nie mogę żyć chwilą obecną, być spokojny? Znałem odpowiedź. Jeśli ja i ludzie tacy jak ja wyjadą, zamiast zostać tutaj i stawiać opór okupacji, za kilka lat obudzimy się w nowej rzeczywistości, spostrzeżemy, że usunięto nam ziemię spod nóg. Jedyne wyjście to przeciwstawienie się temu.

Póki w pobliżu nie było jeszcze żadnych izraelskich osiedli, mogłem sobie wyobrażać, że mam całe wzgórze tylko dla siebie. Były moją cichą areną. Droga, którą teraz szedłem, niegdyś łączyła miejscowości na północ od Ramallah z tymi położonymi na południu. Tymi drogami musiało kiedyś chodzić wielu ludzi, nie dla przyjemności, ale do pracy: przewozili tędy produkty rolne albo dojeżdżali z jednej wsi do drugiej. Do czasu otwarcia szos były jedynymi w okolicy traktami komunikacyjnymi. Niedawno dowiedziałem się od znajomego, że nawet te drogi, którymi chodziłem na moje wędrowki, są zaznaczone na sporządzonej przez Brytyjczyków szczegółowej mapie topograficznej. A ja chciałem wierzyć, że to tylko moja droga, znana tylko mnie, moje osobiste odkrycie, i że te wzgórza są prywatną areną, gdzie mogę zażywać samotności. Sprawdziłem na mapach mandatowych i przekonałem się, że znajomy miał rację. Droga była zaznaczona: biegła od Ajn Arik, miejscowości na zachód od Ramallah, aż do samego Morza Śródziemnego.

Kiedy miałem czas tylko na krótki spacer, zazwyczaj szedłem prosto w dół, a zszedłszy w dolinę, zawracałem i wchodziłem z powrotem na górę. Dzisiaj miałem więcej czasu, więc zamiast zejść prosto w dół, postanowiłem podążyć na północ, przejść wzgórze i zejść do następnego wąwozu. Im bardziej oddalałem się od miasta, tym bardziej zaniedbane pola widziałem po drodze, aż w końcu doszedłem do wzgórza, które było całkiem porośnięte chwastami. Tu i ówdzie zwisały z kamiennych tarasów martwe, czarne jak węgiel gałęzie, pozostałości po winoroślach, które niegdyś rosły tutaj bujnie i spływały kaskadami z kamiennych tarasów. Przystanąłem, żeby się im przyjrzeć. Poczułem zapach zbutwiałego drewna.

Większość tutejszych skał to wapienie, skały osadowe powstałe na dnie głębokiego morza, którym niegdyś zalany był ten teren. Często znajdowałem tu skamieliny rozmaitych skorupiaków. Na moim biurku w domu leży kilka skamieliny ślimaków. Morskie skamieliny można znaleźć tylko po tej stronie Wielkiego Uskoku. Po wschodniej stronie Jordanu, w rejonie przybrzeżnej płytkiej pradawnego morza, są już tylko lądowy piaskowiec i żwir.

W pobliżu zauważyłem kilka dziwnie wyglądających głazów. Przykląknęłam, żeby się im przyjrzeć: wystawały z nich, niczym reliefy, walcowate skamieniałe korzenie. Jeden z nich, wielkości mojej dłoni, osadzony w murze tarasu, wziąłem do ręki. Zauważyłem go, ponieważ w odróżnieniu od szarych kamieni, z których była zbudowana ściana, miał kolor brunatnej gleby. Trzymałem go w dłoni, oglądając dokładnie. Był zdumiewający: zdawało się, jakby ten mały, żłobkowany kawałek skały utworzyły setki skorupki morskich ślimaków, rozgwiazd i jeżowców. Zespół

procesów, które przekształcają luźny osad w skałę, określa się ogólnym terminem „lityfikacji”. Większość osadów ulega lityfikacji pod wpływem sprasowania, które zbryla luźne ziarenka skały, oraz cementacji, w toku której wytrącone spoiwo wiąże ziarna w mocną, twardą skałę. Kawałek skały, który trzymałem w ręce, musiał pochodzić sprzed milionów lat, kiedy tutejsza okolica znajdowała się pod wodą.

Zapuściłem się w fascynujące rejony. Niedaleko muru tarasu dostrzegłem wysoki niczym ołtarz, wielki głaz, który wydawał się tutaj nie na miejscu, jak gdyby spadł z niebios. Był pęknięty w kilku miejscach. Oparłem na nim łokcie i przyjrzałem mu się. Promienie słońca padały na niego pod kątem trzydziestu stopni. Były w nim wyżłobione dwa podłużne płyty, jeden po jednej, drugi po drugiej stronie, a pomiędzy nimi widniała długa wypukłość, jakby jakiś olbrzymi palec u nogi. Całość miała przeszło metr długości. Z początku myślałem, że te kształty wyrzeźbiła woda spływająca latami po skale. Tylko czy woda byłaby w stanie wyżłobić półokrągłe rowki? Widziałem kiedyś zdjęcia śladów łap dinozaura; podobieństwo było uderzające. Podniosłem oczy i spróbowałem wyobrazić sobie olbrzymie zwierzę stojące jedną nogą na tym głazie, z łbem sięgającym niemal szczytu wzgórza wznoszącego się nad Ramallah. Jakże krótka jest chwila dana nam tutaj, na ziemi. I jakże piękny był ten czas, kiedy wzgórza rozpościerały się przede mną, nie zatopione pod wodą ani nie opanowane przez gigantyczne zwierzęta, lecz pełne wspaniałych skarbów.

Zanim stamtąd odszedłem, starałem się zapamiętać lokalizację skały: kilka tarasów w dół od sosen, w połowie drogi między szczytem wzgórza a dnem doliny, na polu porośniętym pospolicie krzewem cierniowym zwanym tutaj *natdż*.

Możliwe, że to właśnie z niego upleciona była korona cierniowa, którą włożono na głowę Chrystusowi. Natdzu jest na tych wzgórzach tyle co wrzосу w górach Szkocji. Obie te rośliny są mocne i silnie ukorzenione. W zimie natdz ma grube, wąskie liście, które zatrzymują wodę. Pola zapelniają się bezlikiem małych zielonych kul trochę przypominających jeżozwierze. Z nadejściem suchych letnich miesięcy liście w końcu wysychają i opadają, pozostawiając podobną do szorstkiej siatki płataninę lodyg, którą rolnicy czasem ścinają i wykorzystują jako miotełki do oczyszczania chropowatych powierzchni kamieni i skał. Natdz używany jest także jako pochłaniacz wody, a ze względu na swoją elastyczność służy ludziom śpiącym pod gołym niebem jako namiastka sprężynowego materaca. W języku arabskim czasownik *natadza* znaczy „wyrywać”, stąd też nazywa opielacza – *muntidz*.

Roślina ta zyskała ogromną popularność w izraelskich sądach wojskowych. Jeszcze nigdy nie wyeksploatowano i nie upolityczniono w takim stopniu żadnego chwastu. Spory udział miał w tym Dani Kramer, doradca prawny izraelskiego rządu wojskowego odpowiedzialny za wywłaszczanie ziemi palestyńskiej pod żydowskie osiedla. Dani znał raptem kilka arabskich słów, między innymi właśnie „natdz”. Jakże często słyszałem, jak stojąc przed sędzią w sądzie wojskowym rozstrzygającym w sprawach gruntu, oświadczał: „Wysoki sądzie, proszę pamiętać, ta ziemia jest pełna natdzu. Przekonałem się o tym”. Co znaczyło: czy trzeba więcej dowodów na to, że ziemia jest nieuprawiana, a więc stanowi własność publiczną, którą mogą zagospodarować izraelscy osadnicy?

Drugim obok Daniego bohaterem projektu osadnictwa, o którym wiele słyszałem, lecz którego nie miałem okazji

poznać osobiście, był rabin Kook*. Raz opowiedział swoim uczniom, że do tego stopnia utożsamia się ze swoją ziemią, iż czuje jej cierpienia na własnym poranionym ciele. Może ziemia, o której mówił, obfitowała w natdz? Chyba jednak nie w tym rzecz. Metafora rabina dotyczyła głębszych spraw. Była noc 14 maja 1967 roku, tuż przed wojną, w wyniku której terytoria palestyńskie znalazły się pod okupacją, wigilia izraelskiego Święta Niepodległości i rocznicy decyzji ONZ, na mocy której powołano państwo Izrael. W trakcie wygłaszania kazania rabin zaczął krzyczeć, a jego ciałem targały spazmy. Wspominał oświadczenie wydane dwadzieścia lat wcześniej, kiedy to ONZ zdecydowała o podziale Palestyny na dwa państwa, żydowskie i arabskie. Gdy palestyńscy Żydzi tańczyli na ulicach, rabin siedział i samotnie opłakiwał podział kraju. W swoim kazaniu pytał retorycznie uczniów: „Gdzie jest Hebron? Czyśmy o nim zapomnieli? A gdzie nasze Szechem [Nabulus], gdzie Jerycho – czy je także porzucimy? A drugi brzeg Jordanu – jest nasz, każda grudka ziemi... każdy skrawek ziemi należący do kraju naszego Pana. Czy mamy prawo zrzec się choćby milimetra? W tym stanie – ciągnął rabin, wspominając wydarzenia sprzed dwudziestu lat – nie mogłem świętować, bo moim ciałem, poranionym i rozdartym, wstrząsały dreszcze”. Gdy o tym czytałem, myślałem sobie: Boże, pomóż. Ale przynajmniej na razie nie miałem zamiaru myśleć o rabinie Kooku i jego ciele ani o Danim i prawniczym fetyszu, jaki zrobił sobie z natdzu. Zamierzałem cieszyć się moją wędrówką.

* Chodzi o Cwi Jehudę Kooka – syna Abrahama Kooka (pierwszego szefa rabinatu aszkenazyjczyków w Palestynie).

Końcowy odcinek drogi, który zaprowadził mnie w dolinę, był wąski i zarośnięty kłującymi krzewinkami. Przezieralem się przez nie, kalecząc sobie skórę, aż w końcu doszedłem do miejsca, w którym droga odbijała w prawo. Mury po obu jej stronach w tym miejscu się rozchodziły. Poszedłem dalej dróżką biegnącą równolegle do doliny. Chłodził mnie łagodny wiatr wiejący przez ten otwarty zielony obszar. Po lewej stronie rozpościerały się wysokie trawy i drzewa oliwne rosnące bujnie w głębokiej, żyznej glebie. Szedłem dalej, mijając parów między następnymi dwoma wzgórzami. W tym miejscu dolina była najszersza. Między tarasami wędrowały serpentynami stada owiec: jak bladoczerwone wstęgi rozsnuwające się po zboczach wzgórz. Poszukałem wzrokiem pasterza; właśnie podnosił do ust trzcinową fujarkę. Przystanąłem i usiadłem na skale, by posłuchać jego sielankowych melodii, a potem ruszyłem w dalszą drogę, starając się robić jak najmniej hałasu.

Już wkrótce doszedłem do tej części uedu, która zawsze pobudzała nas do rozmowy, kiedy wędrowałem w 1981 roku z Jonathanem Kutabem, działaczem praw człowieka i moim kolegą z Al-Hak. Siadywaliśmy na skale z dala od miasta i jego spraw, przy korycie wyschniętego strumienia między wzgórzami, i machaliśmy nogami w trawie. Jonathan myślał o ożenku. Omawialiśmy jego perspektywy życiowe, rozmawialiśmy o tym, co nas w życiu czeka. Przeczytaliśmy plan generalny osadnictwa opracowany przez żydowską Radę Regionalną na Zachodnim Brzegu we współpracy z Wydziałem Osadnictwa Światowej Organizacji Syjonistycznej. Plan przewidywał, że do 1986 roku utworzonych zostanie dwadzieścia pięć osiedli i dwadzieścia placówek, a na naszych wzgórzach osiedli się osiemdziesiąt tysięcy

izraelskich Żydów. Postanowiono przeznaczyć na ten cel dwa miliardy dolarów amerykańskich. Zamierzano wylać na wzgórze tony betonu; w planie była mowa o budowaniu szos w tempie stu pięćdziesięciu kilometrów rocznie. Co roku miało powstawać pięćset *dunam* (*dunam* to miara ziemi równa jednej dziesiątej hektara) stref przemysłowych, a osadnicy mieli objąć w posiadanie wszelkie dostępne bogactwa naturalne. „Bloki osadnicze” miały być rozproszone po całym obszarze, a nasze miasta i wsie odcięte od reszty świata. Potężna sieć dróg miała hamować ich naturalną ekspansję.

Twórcy tego planu postrzegali naszą obecność tutaj jako przeszkodę i stawiali sobie za cel zapobieżenie naszemu „niepożądanemu rozwojowi”. Tworzenie nowych ludzkich osad tam, gdzie do tej pory nie było żadnych, łączenie ich szosami i izolowanie osad istniejących miało nie tylko zduszać nasze społeczności, lecz także zniszczyć tę piękną krainę i w ciągu kilku lat diametralnie odmienić miejsce, które zachowało się przez wieki. Ariel Szaron, ówczesny minister obrony, zapowiedział: „Pozostawimy całkowicie odmienioną mapę tego kraju, której nikt nie będzie mógł zlekceważyć”, a Menachem Begin, w tamtym czasie pełniący urząd premiera, ogłosił: „Osadnictwo [na terenach okupowanych] jest istotą syjonizmu”. Izraelskie gazety informowały, że rząd izraelski nigdy nie zaakceptuje podziału Wielkiego Izraela i nie zgodzi się na utworzenie państwa palestyńskiego między Jordanem a Morzem Śródziemnym. Wiedzieliśmy, że nie możemy pozostać bezczynni w obliczu takiej groźby. Musieliśmy zrobić wszystko co w naszej mocy, by dać jej odpór. Było oczywiste, że jeśli plan zostanie wcielony w życie, pokolenia młodych Żydów będą

dorastać na naszych wzgórzach w przekonaniu, że tu jest ich dom, a nas będzie czekało kolejne sto lat zmagania o tę część Palestyny. Na skale w Wadi al-Akda obmyślaliśmy z Jonathanem strategię naszej sądowej bitwy z izraelskim planem.

Drzewa oliwne na dnie uedu rosły na płaskiej, świeżo zaoranej ziemi. Obieraliśmy to miejsce za punkt wyznaczający połowę trasy naszej wycieczki i stamtąd rozpoczynaliśmy wspinaczkę z powrotem w kierunku Ramallah. Pogryzając jabłka, dyskutowaliśmy o przyszłości naszej prawniczej batalii i snuliśmy plany storpedowania za pomocą środków prawnych całego izraelskiego projektu osadniczego. Wymyśliliśmy, że będziemy zbierać fundusze na pomoc prawną i skarżyć w sądzie każdy nakaz wywłaszczenia. Zakończymy tę farsę, której celem było wmówienie nam, że osadnicy tylko zagospodarowują ziemię niczyją.

W trakcie naszej rozmowy powiodłem wzrokiem dokoła. Bardzo mi się podobały tutejsze otoczone kępami trawy głązy. Wyglądały, jak gdyby wystrzeliły z głębi ziemi, przypominały skaliste wysepki na morzu zieleni. Przed nami rozciągały się wzgórza, między którymi rozsiadła się wygodnie przepastna dolina. Po prawej wznosiły się ruiny starego kasru. Zimą, kiedy woda spływała ze zboczy, jej struzki łączyły się w wąskim kanale między skałami. Ścieżka biegła wzdłuż niego. Niedługo zakwitnie tutaj więcej kwiatów niż gdziekolwiek indziej w tej okolicy.

Znaliśmy główny argument wysuwany przez izraelskie władze wojskowe: niezarejestrowana ziemia na Zachodnim Brzegu to własność publiczna, a więc można ją wykorzystać do osiedlania tutaj izraelskich Żydów. Konsekwencje były dla nas katastrofalne. W świetle takiej interpretacji prawa ziemskiego jedyne niezarejestrowane grunty, któ-

re naprawdę należały do Palestyńczyków, to te, których użytkowanie potrafili udowodnić – wykazać, że bądź to mieszkali na nich, bądź nieprzerwanie uprawiali je przez co najmniej dziesięć lat. Cała reszta to własność publiczna. A zatem Palestyńczycy mieszkający na Zachodnim Brzegu to dzicy lokatorzy, a nie prawowici właściciele swoich działek. Jedyne prawowitymi ich właścicielami, w myśl wersji prawa i historii ustanowionej przez rząd izraelski, byli Żydzi, których prawa do tych ziem sięgały niepaństwowych czasów, niemal epoki dinozaurów. Z prawnego punktu widzenia takie stanowisko było nie do utrzymania, a jednak nikt go nie podważał! Większość Palestyńczyków bojkotowała izraelskie sądy, do których można było wnieść tego rodzaju skargi. Osadnicy żyli w błogim przeświadczeniu, że nie zabierają nikomu prywatnej ziemi pod budowę swoich osiedli.

Jonathan, ze swoją fryzurą afro, śnieżnobiałymi zębami i długimi palcami, wymawiał każde słowo z emfazą. Jego czarne, błyszczące, inteligentne oczy rozszerzały się, gdy chciał podkreślić jakąś myśl.

– Musimy zaskarżać te roszczenia – oznajmił, na tyle głośno, by mogły go usłyszeć wszystkie wzgórza. – Wiemy, co dobre, a co złe. Nie wolno nam ułatwiać Izraelowi przemowienia naszych ziem. Wytoczmy im setki, tysiące procesów i wykończymy ich system sądownictwa. Wyobrazasz sobie, jak idziesz do Nurit do sądu wojskowego z pudłami pozwów? Wyobrazasz sobie, jacy będą zaskoczeni na widok tego stosu nowych spraw, które będą musieli rozpatrzyć? Ale jazda! Niesamowicie mnie to kręci.

Po powrocie z wędrówki entuzjazm nas nie opuścił. Organizacja Al-Hak założyła specjalny fundusz pomocy praw-